

Plik zapisów tych z klamer zwolniłem i na posadce, jeden względem drugiego, w rzędzie długim ułożyłem. Zwój papieru czerpanego wraz z grafionem uprzednio zaostrzonym z torby dobyłem, a dogasającą pochodnię w odległości bezpiecznej trzymając, do odszyfrowania zapisów jako też do pospiesznych notatek, z zapalem niesłabnącym przystąpiłem.

„Komnata dolna wielkiej piramidy w której postawiłeś stopy, w miejsce to zmierzając, częścią systemu wytwarzającego potężne dźwięki była. Ciśnienie wody z Nilu doprowadzonej, dźwięk przeraźliwy tworzyło, a potęgowały go mury kamienne. Dwie piramidy wokół stojące, dźwięk ten przetwarzały w energię, pole magnetyczne ziemi wzmacniającą. Przez tysiąclecia całe, energia ta jako mgła zaranna, po ziemi całej się snując, chroniła planetę przed rozbłyskami słonecznymi, deszczem planetoid i zmianą położenia biegunów obu. W sposób ten z dawna nam znany, z przekazów Amona Ra pochodzący, chroniliśmy Ziemię przed kataklizmem wszelkim, jaki spotkał jego planetę ojczystą. W system ten wprzęgnięto wszystkie piramidy na ziemi wybudowane, na lądach nawet najodleglejszych, a ośrodek ich stanowiła wielka piramida, przez lud nasz Eched, czyli światłem zwana. Na skutek nienawiści wzajemnej pomiędzy pobratymcami, wzmaganej z pokoleniem każdym i energii całej na doskonaleniu broni skoncentrowanej, do zaniedbań rozlicznych doszło. Z braku dozoru należytego, wody nilowej śluzami na czas nie dostarczono, do zawodności tarczy obronnej doprowadzając.

W czas ten deszcz planetoid i plejad ziemię naszą nawiedził. Wrogowie śmiertelni, w żądzy zemsty zapiekli i podejrzliwością o chęć zniszczenia przeciwnika wobec siebie pałający, rozbłyski i chmury dyków jako atak przeciwnika poczytując, nawzajem broni straszliwych przeciw sobie użyli. (W miejscu tym uznałem, że zapisy te dalszą historię cywilizacji przez Amona Re zapoczątkowanej, stanowią). Stało się jakoby ziemia się rozstała i rozżarzone jądro na powierzchnię swą wypłuła, jakoby wszystkie żywioły ziemskie naraz się rozszalały i pomieszały pory roku. Bezchmurne niebo rozstąpiwszy się zagrzmiało jakoby chcąc burzy letniej utorować drogę. Ludzie z niedowierzaniem twarze ku górze zadarli, mroków wypatrując głosowi grzmotów towarzyszących, a pośród nich posłańca sił gromowładnych. W zamian jeno rozbłysk i światło nadprzyrodzone dostrzegli, przerażenie ich potęgujące. Poblask oślepiający zstąpił z wysokości i światło dzienne przyćmił. Ludzie niczego nie świadomi, dostrzegli pod zamkniętymi powiekami, wyblakły dysk słoneczny, żółknący jako liść wypłowieły. Widzieli pobratymców swoich, patrzących na zjawisko im nieznane, poprzez przyłożone do oczu dłonie. Na tle jasności niedoświadczonej, wszystkie kości i stawy rąk własnych, widzialnymi się stały. Lśnienie, w długi czas jeszcze z niebios spływało, wciąż jasności niewyobrażonej nabierając, jakoby wszystkie słońca wszechświata w jednym miejscu spotkać się miały.

Blask i żar dotąd do życia wszelkiego niezbędne, naraz wrogiem wszystkiego co żywe się stały. Huragan się rozpętał, głośniejszy od dźwięku tysięcy trąb, zdolnych mury kruszyć i głązy przenosić. Piasek, grudy ziemi i kamienie ku niebu się uniosły. Wiatry rozszalałe, od jednego horyzontu aż po drugi się przetoczyły, zabierając z sobą wszystko, co tylko unieść zdołały. Wichury zdolne domy wyrwać, wirami gorącego powietrza ziemię pokryły. Grom przeraźliwy zahuczał i wstrząs nastąpił, jakoby cała energia wszechświata przeciw ziemi się obróciła, jakoby siły wszelkie przeciw porządkowi kosmicznemu się zbuntowały. Na niebiosach kolejny piorun ogniasty się ozwał, niczym głos bogów rozsierzdzonych, zwiastun śmierci, jaskrawością swoją oślepiający, jakoby całe złoto ziemi wraz ze srebrem stopić się miało.

Ziemia jak długa i szeroka w posadach zadrżała, góry najwyższe się rozpadły, a morza z brzegów wystąpiły. Oślepiali ludzie, okrzyki bólu braci i siostr swoich usłyszeli, ich przedśmiertne jęki. Oczy ich wszystkich fałdy opuchlizny skryły, zupełnie ślepych czyniąc. Nieprzeliczona ciżba ludzka w niewiadomych zmierzała kierunkach, na oślep, pośród pióropuszy ognia szalejących. W popłochu uciekając, w tumult jeden się zbijała, nawzajem się tratując. Sparzona skóra z ciał umęczonych, płatami wielkimi zwisała

poczęła, pęcherzami pokryta. Ciała krwawiącymi ranami się stawały. Ramiona, barki, plecy, pozbawione skóry rozpadać się wydawały i oddzielać od kości, bezkształtną, czerwoną masę tworząc, ludzkich kształtów pozbawioną. Promienie i podmuchy od strony wybuchu ziejące, zwęglenie ciała powodowały, w stertę popiołów całe rodziny obracając. Ci których wybuch w domostwach zastał i w centrum wybuchu się znaleźli, wraz z budynkami w przeblysku oka jak kamfora wyparowali, a wobec mąk pobratymców swoich, prawdziwymi dziećmi szczęścia byli. Ciężarne kobiety z twarzami opuchniętymi, wokół biegały, co rusz o zgłiszczą domów swoich się potykając. Na skutek bólu i trwogi rodziły przedwcześnie, a dzieci płaczące pod naporem ciał matek dusić się poczęły. Lżej ranni przy wtórze lamentów i pojękiwań spod stosu trupów niezdarnie się wyczołgiwali.

Wojownicy w szyku bojowym ustawieni, jak krople kamieniem do wody wrzuconym, na boki się rozpierchli. Jeden po drugim spadali na rozpaloną ziemię, jak pisklęta z gniazd wypadłe, tarczami i bronią swą nakryci. Od śmierci nagłej ocaleni, w odmętach mórz i rzek tonęli w nadziei uchronienia ciał rozpalonych, od poparzeń rozleglejszych. Jednakże woda wkrótce w ostojach swych się zagotowała, a później wraz z innymi napojami i pokarmami zatruciu uległa, do śmierci późniejszej się przyczyniając. Drzewa przewracane uśmiercały stworzenie wszelkie. Horyzont chwiać się począł jak barka falami morskimi rozkołysana, a słońce wraz z nim, to opadało, to ponad wszelką miarę się wznosiło. Pobłąski kolejne planetą całą, poświatą jaśniejszą od najjaśniejszych gwiazd pokryły. Całe niebo wkrótce czerwonym ogniem zapłonęło, czerwieńszym niż wszystkie poranne zorze, przez wszystkie czasy minione dzień zwiastujące. Nim oczy do blasku nadprzyrodzonego niezwykajne, z ciekawości ludziom właściwej się rozwarły, strzały ogniste na firmamencie grotami zajaśniały – dostrzegły - błyskawice wraz z ogniem z nieba na ziemię spływające które to w wir płomieni i dymu się przeistoczyły. Od temperatury olbrzymiej jak od krzesiwa wokół iskry rozrzucającego, wszystko zapłonęło. Ziola trawy i zboża, dachy domostw i drewno wszelkie w odległościach największych, naraz w ogniu stanęły, wiele też skał się rozpękło.

Fale ognistej pożogi przez kolejne miasta cywilizacji naszej się przetoczyły, niezdolnymi do zamieszkania je czyniąc. Na odległość setek i tysięcy kroków budowie Puma Punku, Tiahuanaco masywne i ciężkie wielce, jako stado ptactwa łownego, na cztery strony świata się rozpierchły. Niezliczone ilości cegieł z jakich miasto wspaniałe i rozległe Kukutarmę zwane zbudowano, świszczały w powietrzu jako grad z nieba spadający i na dnie rzeki pobliskiej, głębokiej i przepastnej zaległy. Bajecznie kolorowa kukutarm-ska ceramika naraz się rozpękła, a fragmenty jej wraz z piaskiem i bryłami murów, w szkło połyskliwe się zamieniły. Na wpół martwi Kukutarmy mieszkańcy, widzieli kule ognia, przez opustoszałe domostwa przetaczane. Na ich oczach rytualne baseny, przepyszne łaźnie, złotem zdobione świątynie w proch i pył się rozpadły, w łunach i dymie niknąc. Ducha wyzionawszy na ulicach zalegli, a pył i piasek w górę wzbity, ciała ich okrył. (W duchu zamyśliłem czy ktoś kiedyś do ruin owej Kukutarmy drogę odnajdzie, szczątki ich mieszkańców wydobędzie i nad śmiercią ich tragiczną czoła pochyli).

Wszystkie świątynie na największym z lądów, zatrzęsły się i we wzgórze gruzów obróciły. Rozbłąski na obszarach niezmiernych ludzi bezbronnych wiatrem śmiertelnym dosięgły, toteż wszyscy w dni kilka, jak jeden mąż w cierpieniach żywot zakończyli. Promienie ciepła nieziemskiego na wszystkie strony świata się rozeszły, w najmniejszą nawet istotę wnikać. Ludzie, ze wzgórz odległych kataklizm ten obserwujący, bezpieczeństwa swego będąc pewni, podmuch wiatru na skórę uczuli, na głowy ich pył i kurz opadł. Zdarzenia te z pozoru niegroźne za nic mając, ze zdziwieniem obserwowali wypadające im włosy i paznokcie, czarne plamy na skórę występujące, guzy pod skórą wyrosłe, krew zrzędłą i jasną. Wydać się mogło jakoby trawiony ogniem świat, szybszych obrotów wokół osi własnej dokonywał, bieg następujących po sobie zdarzeń, przyspieszając. Ludzie, na wpół martwi, na wpół żywi, nagłością faktów oszołomieni, zali nie wiedzieli, czy to kataklizmem rzeczywistym dotykani zostają, czy to ulegli zbiorowej halucynacji, legendami i podaniami podsycanej.

Lżej rani w niemocy swojej i bezradności, wokoło, jak wzrokiem sięgnąć ciała pobratymców dostrzegli, ogniem nienasyconym trawione, od całopalnych pochówków i obrzędów niczym się nie różniące. Z odra-

złą wielką na otwarte rany ofiar spoglądali, niezliczonego robactwa pełne, martwym ciałem się karmiącego. Ognisty blask wzrokiem śledząc, pośród zapadającego zmierzchu powstały, świetlistą poświatę dostrzegli nad ludzkimi szczątkami zawisłą, nie wiedząc zacy skąd pochodzić może.

Zwierzęta oswojone i ludziom dotąd wierne z pęt i powrozów się pozrywały i w dal nieznaną rozpierzchnęły. Rumaki każdą komendę jeźdźców gotowe wykonać, dęba stały a pianę z pysków tocząc w popłochu uciekły, często wojowników za sobą powłócząc. W niedługi czas później ciemności nad światem całym nastały, wszystko w sobie skrywając. Jęki i krzyki ludzkie, nadto doniosłe, porykiwania zwierzyny wszelkiej zagłuszyły, niosąc się pośród ciemności na światła strony cztery.

W czas niedługi, nim ostatnie krzyki ustały, łagodne wiatry mroki rozproszyły, lustra wód stojących przy tym wygładzając. Wkrótce też ponad wodami i łądami błoga cisza zaległa, piasek, pył i kurz ciężki na ziemię wypaloną opadł, przeraźliwy obraz zniszczenia ukazując. Ziemia jako długa i szeroka, w promieniach słońca widziana, pobojuwiskiem jednym się stała. Puch ptasi wszędzie wokół wiatr rozwiewał, martwa zwierzyna pokotem zaległa, a żywej wszelka sierść wypadła. Wody rzek, niezliczone pnie drzew toczyły, a fale morskie długo jeszcze przedmiot wszelki na brzeg wyrzucały. Czas długi jeszcze, powietrze od zaduchu ciężkie, dech w gardłach zapierało i w płucach więzło. Nim kilkadziesiąt poranków upłynęło, nim ocalańcy poczęli domostwa swoje odbudowywać, jeden po drugim mrzeć poczęli, jakoby nieznaną i niewidoczną epidemią dotknięci byli. Nieszczęśnicy owi żywota w mękach dokonując, błędnym wzrokiem wodzili za postaciami współplemieńców z woli swojej sztyletami przebijanych, w przepaściach skaczących, w rzekach i morzach umyślnie się topiących, cierpienia nie mogąc przezwyciężyć. Na oczach ich, pierwszym tchnieniem śmierci przymykanych, ciała poległych w nieładzie rozrzucone w kości białe się przeistoczyły.

Nieliczni, którzy na wyprawach odległych przebywali, z owrzodzeniem bolesnym na ciele jeszcze długo zмагаć się musieli. W długi czas jeszcze zmiany kalekie a liczne w ciałach dzieci swoich dostrzegli. Nader częste bywały połogi, niemowląt bez rąk i nóg narodzonych. Życie ocalańców, pasmem jednym cierpień i nieszczęść się stało. Garstka jaka przetrwała, dawnych miast odbudować nie czuła się władna, ani też monolitów ogromnych wokół siedzib porozrzucanych, w dawne konstrukcje zestawić, jeno lekkie cegły budulec wspaniałej Kukutarmy stanowiące z okolic zniósłszy, w niedbałe budowle zestawiała. (Zamyśliłem się dłuższą chwilę gdzież może owo miasto Kukutarma się znajdować o którym jakże często wzmianka się pojawia i jakąż dzisiaj nazwę nosić może). Nieliczni rozbitkowie jako zwierzęta dzikie w norach, w ruinach miast teraz zamieszkali, kęs pożywienia zwierzętom tym z paszczy wydzielali, resztki po nich dojadając.

Wraz z przemijaniem pokoleń kolejnych, gdy czas następstwa tragedii dawnych w mrokach swoich spowił, rozbitkowie instynktem pradawnym kierowani do siedzib praprzodków powracać poczęli. Osiągnięciom ich nie mogli dać wiary. Na pozostałości budowli rozległych patrząc, oczom nie dowierzali li też dłonie ludzkie zdolne były czegoś w podobie dokonać. Przedmioty i zapisy odnajdywać poczęli, które im zrazu dużo do myślenia dały, a gdyby nie one, zapewne nadal by w jamach się kryli, skórami zwierzęcymi od chłodu się okrywając.

Gdy słońce i planety miejsce swe odwieczne na ścieżkach niebieskich na powrót zajęły, rzeki do koryt, a morza i jeziora do niecek swoich powróciły, garstka ocalańców wielu łądów dotąd zamieszkałych odnaleźć nie mogła, zgodnie uznając połączenie wielkie praojczyzny swojej, za na dnie oceanów zaległe. Dokonania praprzodków za wzór sobie stawiając, miasta w gruz obrócone uprzętnęli i na własną modłę, starali się na powrót wybudować. Umiejętności ich niepomrotnie skromniejsze się okazały, a budowle nietrwałe i nieporadne. (Z tej przyczyny wszystkie pomniejsze piramidy zdążyły się rozpaść lub właśnie się rozpadają – dokonałem pospiesznych wniosków) Z upływem pokoleń o doskonałości praprzodków zapomnieli, a własne uchybienia widząc, poziom swojego rozwoju z wolna podnosili, wynalazki niegdysiejsze doskonaląc”.

W miejscu tym zapisy na papirusie z nagłą się urwały. A zatem tragiczne zdarzenia jakie przeczuł i przed

którymi przestrzegał Amon Ra w przeszłości musiały się dokonać. Na myśl tę poczucia ulgi doznałem, rękawem burnusu pot z czoła ocierając. W poszukiwaniu kontynuacji zapisów po kolejny z papirusów sięgnąłem, tuż obok do wieka łodzi przytwierdzone.

„My kapłani kultu Amona Ra słowa te spisujący, uniwersalnym językiem liczb częstokroć się posłużyliśmy, aby przekaz ten nawet po upływie tysiącleci długich, czytelnym i zrozumiałym dla następców naszych pozostał. Komnata w której się znajdujesz, z polecenia potomka Amona Re, Suriego wzniesiona została. Doznał on podczas snu objawienia o nieodległej zagładzie całej Ziemi grożącej. Wizję tę z należytą powagą traktując, w budowli tej odpornej na wszelkie kataklizmy, postanowił całą wiedzę ludzkości zawrzeć, ażeby ci którzy kres znanego nam świata przeżyją, przekazy do odbudowy jego skąd czerpać mieli. Zwłok któregoś z potomków Amona Ra, faraonami zwanymi, na próżno szukać tutaj będziecie, albowiem żadna z trójkątnych budowli grobowcem nie jest.

Najwyższa z nich, w podziemiach której się znajdujesz na przecięciu osi ziemi, wzniesiona została. W czasie równonocy, oko ludzkie osiem jej ścian dostrzec może, w czas pozostały zaś cztery. Cztery znaki Zodiaku wskazuje; Wodnika, Skorpiona, Lwa i Byka. Powierzchnia ścian budowli tej, podzielona przez powierzchnię podstawy daje złotą liczbę 1, 61, złoty podział, klucz do zrozumienia wszechświata, wedle którego wszystkie galaktyki, planety, minerały i wszelkie organizmy żywe od roślin poprzez zwierzęta po ludzi są zbudowane. Budowla ta międzygwiazdny kierunkowskaz stanowi z wysokości podniebnych czytelny, wszelkie dane na temat Ziemi, zawierając. Połowę obwodu budowli tej przez jej wysokość chcąc podzielić, wynik podwojeniem złotego podziału się okaże. W wyniku podziału połowy obwodu przez wysokość każdego z boków liczbę 3,14 otrzymasz (a więc Pi, słynną ludolfinę przez Europejczyków ledwie pięćdziesiąt lat temu uzyskaną – wyszeptalem). Połowę obwodu zaś przez całkowitą wysokość budowli dzieląc, po raz wtóry złotą liczbę uzyskacie. Wysokość piramidionu całą budowlę wieńczącego, na sto jednostek podzielić można, łącznie jeden metr dających. Kolejno, od liczby Pi złotą liczbę odejmując uzyskacie kubit, dwie wielkości i miary jednostki według których jest budowla ta wzniesiona i zgodnie z którą wielkość Ziemi określić można, obwód jej zaś na 40 milionów metrów przez nas wyliczony został.” W miejscu tym odczyt przerwałem i oczy z niedowierzania dwakroć przetarłem, toż to metr ledwie przed trzydziestoma kilkoma laty, krajanie moi wraz z kilogramem wyliczyli. Omiotłem wzrokiem kolejny z papirusów, w poszukiwaniu najbardziej mnie interesującego, na którym to, kronikę biegu planet jakoby spisać miano. Zwolniłem z klamer kilka kolejnych zapisów, a na matematyczne wyliczenia napotkawszy, większą uwagę im poświęciłem.

„Równonocą jesienią i wiosną każdą przez tysiąclecia niezmienną, się posłużyliśmy ażeby cykl astronomiczny ziemi na przestrzeni tysiącleci, co 26 z nich się powtarzający, do sekundy wyliczyć. Zjawisko to recesją punktu równonocy nazwaliśmy, zgodnie z nim każda z gwiazd względem oczu Sphinksa co 72 lata o jeden stopień się odchyli. Długie tysiąclecia wyliczenia te nam pochłonęły, zapisy kolejnych generacji niebo obserwujących z sobą porównując. Użyliśmy gwiazd Zodiak tworzących, ażeby położenie Ziemi we wszechświecie nieomyślnie określić. Piramidion budowlę tą wieńczący dzieli się na 12 kubitów, zaś okrąg w który się wpisuje dzieli się na dwanaście zodiakalnych pól. Gdy zdarzy się że w nocne a bezchmurne niebo spojrzycie, dostrzeżecie cztery najjaśniejsze gwiazdy: Altebarana z gwiazdozbioru Byka, Regulusa spod znaku Lwa, Antaresa ze Skorpiona i Tomahauta z konstelacji Ryb. Gwiazdy te prócz tego że świecą najjaśniej, stałymi odległościami pomiędzy sobą się charakteryzują, z tego też powodu jako punkt odniesienia użyte zostały. Oś łączącą Byka i Skorpiona prócz tego stanowią, jak i oś

pomiędzy Lwem a Wodnikiem zawartą. Lwem i Wodnikiem tym zarazem jest Sphinks, czyli lew z ludzką głową Wodnika, u podnóżu którego wejście do budowli tej znalazłeś. Na długo Sphinks ów został przed powstaniem najwyższej z piramid, z bryły skalnej wykuty. Przez szczyt jego głowy przechodzi trójkąt, proporcje budowli tej zachowujący, a dwoma kolejnymi rogami trójkąta tego są szczyt budowli w której się znajdujesz i czubek małej piramidy po lewej ręce stojącej. (W głowie mojej zmęczonej aż się

zakreśliło od wyliczeń wszystkich, jednakowo chcąc sens ostateczny ich poznać, jałem tłumaczyć dalej) Jeśli zaś szczyt budowli tej okręgiem przetniesz, to niechybnie przebiegnie on przez głowę Sphinksa w miejscu tym samym. Memfis wraz z piramidami i Sphinksem zegar niezawodny dla nas stanowią, podług cykli astronomicznych wyregulowany, a tarczą jego cztery punkty Altebaran, Regulus, Antares i Tomahaut, wskazówką zaś oczy Sphinksa. Jakkolwiek przeznaczenie jego szerokim jest, tysiącletnie cykle obejmującym, to dokładny czas dla całej planety wskazuje, dokładniejszy od wszystkich słonecznych czasomierzy. Zegar ten pełen okrąg zatacza na przeciąg 26 - u tysięcy lat i zdolny jest ukazać etap cyklu, na którym Ziemia się znajduje.

Gdy po raz wtóry głowę ku gwiazdom uniesiesz, a wzrok ku konstelacji Lwa zwrócisz, na jego piersi najjaśniejsze miejsce dostrzeżesz, gwiazdę tę Regulusem zwaną, sercem Lwa określiliśmy. Miejsce identyczne na piersi Sphinksa wypukłością kamienną naznaczone zostało i sercem Sphinksa nazwaną. Kamienne serce punkt początkowy nowego cyklu recesji równonocy stanowi, a rozpoczyna się on w momencie gdy oczy Sphinksa ku Regulusowi skierują spojrzenie i oś Sphinksa zrówna się z osią Lwa i Wodnika. Cykl ten według wyliczeń naszych wiąże się ściśle ze zmianą położenia ziemskich biegunów, co zwykło w połowie cyklu całego następować. W czasie tym powłoka ochronna ziemi osłabieniu ulega, do odbijania planetoid i głązów z niebios spadających niezdolną będąc. Zdolność przyciągania ich większą się staje, a promienie słoneczne zabójczymi. Pożary i potopy w okolicach czasu tego Ziemię ogarniają, a klimat na tyle się schładza, że pokolenia kolejne daleko na południe uciekać muszą. Ostatni z kataklizmów przed 8 tysiącami lat miejsce mający, spotęgowany wybuchami broni jaśniejszej od wszystkich słońc, na tyle bardzo Ziemię poruszył, że oś świata, ze wschodu na zachód biegnąca, o 30 odchyliła się stopni, a biegun północny przesunięciu uległ. (W owych czasach zatem igła magnetyczna, musiała w innym odchyłać się kierunku, a równik gdzie indziej przebiegać, wywnioskowałem po chwili) Po raz kolejny Równowaga Maat została zachwiana.....”

Przerwałem odczyt trudny i zawiły lecz jak się domyślałem dla zrozumienia meritum niezbędny, a krople zimnego potu na czoło moje z powrotem wystąpiły. Nazbyt szybko jednak czyhające zagrożenie uznałem za minione, nowego i nadchodzącego nie przeczuwając. Na ile szybko potrafiłem, przeliczyłem - jeśli kataklizm ostatni przed tysiącami ośmioma miał miejsce, zaś słowa te spisane przed pięcioma tysiącami lat zostały, kataklizmy te zaś zdarzają się co trzysta tysięcy lat, to kolejny musi nastąpić za lat, ni mniej ni więcej....., może to nastąpić nim jeszcze do Francji ukochanej zdołam powrócić i najbliższych swoich ostrzec, wówczas też pełen cykl się zamknie, a rozpocznie nowy. Tak więc morderczy cykl w jaki uwikłana jest planeta nasza, kończąca swój byt i rozpoczynająca go od nowa, nie jest tylko luźnym zbiorem podań i legend, przez starożytne ludy przekazywanych, z którymi to, przy okazji poznawania języków wymarłych się zetknąłem – refleksja pospieszna, a przykra się nasunęła. Wieczny obieg kołowy rzeczy nie odnosi się tylko do umierania i odradzania się pojedynczej istoty ludzkiej. W równej mierze kwitnienia i przemijania cywilizacji, kultur i ras zatem się tyczy. Ten sam schemat zdarzeń prowadzący do upadku kultur się powtarza, uświadomiłem sobie w zadumie pogrążony. Nogi nad wyraz wiotkie pod sobą uczułem, mrok przed oczyma się ukazał, pot zimny na czoło turbanem opasane wystąpił i pochodnia niemal z dłoni wypadła. Wkrótce też otrzeźwienie wraz z pocieszeniem przyszło i słowa hieroglifami wyrażone odczytałem „ w okolicach czasu tego” a więc pewnie różnica dziesięciu, dwudziestu, pięćdziesięciu, stu bądź też dwustu lat, na przestrzeni tysiącleci wystąpić może, bezpieczny i szczęśliwy żywot wraz z rodziną mi zapewniając. Bez względu na wszystko co nastąpi, postanowiłem tekst ten do końca odczytać, wszystko co odczytałem spisać skrzętnie i drukiem we Francji ogłosić, by rodacy moi, jak i cała rodzina ludzka świadoma grożących niebezpieczeństw była i w porę stawić im czoła mogła, by wszystkiego po raz kolejny od nowa nie rozpoczynać. Ochłonawszy nieco do odczytów dalszych, z niemałym trudem przystąpiłem

„Skutków zjawisk tych chcąc uniknąć pomiarów wraz z wyliczeniami dokonaliśmy i wszystkie te budowle wzniesionymi zostały. Przeczornymi będąc największe ośrodki cywilizacji naszej na osi świata

utworzyliśmy i w odległościach równomiernych rozmieściliśmy, by katastrofą zaskoczeni, przestrzeń niezbędną do ucieczki uzyskać, by miast wszystkich równocześnie kataklizm nie zniszczył, by z jednego ku drugiemu miastu, bezbronnych wobec żywiołów ludzi przenosić. Z głazów olbrzymich bryły nieregularne wyciosaliśmy, a jedne do drugich ściśle dopasowując, miasta odporne na kataklizmy wszelakie zdolne posadami ziemi wstrząsnąć, wznieśliśmy. W sposób ten powstało na zachód od miejsca tego, ku morzu wielkiemu się kierując Siwa, Paratori, Tassili. Na zamorskim wielkim lądzie Puma Punku, Sacsayhuaman, Cuzco i Ollantaytambo, Machu Picchu, Nasca, Tiahuanaco, i najbardziej oddalone na zachód miasto nasze Rapa Nui, gdzie według metod sprawdzonych wznieśliśmy mury miejskie na wstrząsy wszelakie odporne i posągi ludzi z twarzami ku oceanowi zwróconymi. Na wschodzie ku wysokim góróm, niebios sięgającym się kierując, założyliśmy na osi ziemi Petrę, Ur, Persepolis, Kukutarmę, Sukhothai, Angkor Wat, Preah a stamtąd w prostej linii, dalej na wschód osią ziemi podążając, niechybnie w Rapa Nui się znajdziesz. Odległości identyczne zachowaliśmy pomiędzy miastami naszymi na przeciwległych półkulach założonych. Odległość z Nasca do budowli w której przebywasz tą samą jest co z Angkor Wat do Nasca. Z Kukutarmy do Rapa Nui także sama droga, niezależnie czy ze wschodu na zachód czy też w kierunku przeciwnym podążasz. (Na minut kilka odczyt przerwałem i zastanowiłem się nad chaotycznością rozmieszczenia miast naszych, nad bezbronnością mieszkańców nagłym kataklizmem doświadczonych, nad nieodwracalnością położenia siedzib jakże ludnych i niebezpiecznych zarazem. Nad brakiem pomiędzy nimi komunikacji wszelkiej.). Trójkąt zaś, wierzchołki którego piramida ta wyznacza, zamorskie miasto Nasca i biegun magnetyczny planety naszej, który przed katastrofą wielką biegunem jej północnym był - równa jest proporcjom budowli w podziemiach której się znajdujesz. Odległość pomiędzy Rapa Nui, a miejscem w którym stoisz równa jest złotej liczbie przez 10.000 pomnożonej. Odległość zaś pomiędzy miejscem tym, a Angkor Wat pomnożona przez złotą liczbę jest równa odległości stąd do Nasca, ta zaś przez złotą liczbę pomnożona, wskaże odległość pomiędzy Nasca, a Angkor Wat. Miasta nasze w tak równych odległościach rozmieściliśmy, by jednym skokiem rydwanów skrzydlatych w przestworzach szybujących, do pobratymców naszych dotrzeć i przed niebezpieczeństwem ich ustrzec. Ażeby każda z siedzib naszych, równe szanse na ratunek posiadała.”

Już sięgnąć chciałem po kolejny papirus gdy przezornie na pochodnię spojrzałem, a widząc jej dopalające się strzępy zrozumiałem, że gdybym nawet rok tutaj spędził, nawet części najmniejszej wiedzy tutaj zgromadzonej odczytać nie zdołałem, a to co zdążyłem pospiesznie wzrokiem przebiec, nader rozległym i istotnym jest, by jak najrychlej z rodakami moimi nowinami tymi się podzielić.

Papirusy klamrami do wieka przytwierdziłem. Wieko bez trudu obróciwszy, na miejscu od tysiącleci zajmowanym umieściłem, w przekonaniu że mechanizm wagi, dwóm szalom równowagę właściwą przywróci. Ostatnie spojrzenie za siebie rzuciwszy w pośpiechu komnatę opuściłem. Ażeby stromiznę schodów bezpiecznie pokonać, przez zawile meandry korytarza przebrnąć, rozpalone myśli postanowiłem na dno świadomości zepchnąć, w zamian zaś na zagrożeniach zewsząd czyhających, całą uwagę zogniskować. Żmudnym wyliczeniom nie musząc się oddawać, wprawę w szybkim pokonywaniu schodów wnet zdobyłem i pułap dolnej komnaty osiągnąłem. Kolejne stopnie ku sklepieniom podziemi prowadzące, w czasie niewiele dłuższym pokonałem. Przechodząc przez wrota kamienne, wzrok na posąg bogini Maat zatrzymałem, by wizerunek jej zapamiętać i cechom szlachetnym w postać jej wcielonym, na resztę życia wierny pozostać. Ku schodom do podziemi prowadzącym zmierzając, uwagę wyteżyłem, pomny zapadni na kilku stopniach umieszczonych. Numery ich pamiętałem, jednakże z dołu ku górze były wyliczone, z góry ku dołowi inne zgoła liczby musiały je wyrażać. Ścianę najbliższą uważnym spojrzeniem obrzuciłem, a napotkane hieroglify w lot odszyfrowałem „By na pustynię żywym się wydostać stopni 35, 68, 175, 287 unikać musisz. Kolejny raz matematycznym umiejętnościom starożytnych Egipcjan nie mogłem poskąpić uznania. Powtarzalność tych samych liczb w obu kierunkach zdolni byli wytypować i ich zmiennością się posłużyć. Doświadczeniem podbudowany, bez drżenia nóg, kolejne stopnie – pułapki, długimi pokonywałem krokami. W podziemiach już będąc, w poświęceniu migotliwej jaką wypalona po-

chodnia roztaczała, wejście do korytarza bez trudu odnalazłem. Pomny miejsc rozlokowania zapadni zdradliwych, niezmierzone metry wąskich korytarzy, pewniejszym krokiem zdolny byłem pokonać. Blok kamienny w kształcie cegły mułowej, mechanizm pułapki blokujący, przed godziną z górą przeze mnie uruchomiony, na powrót ze ściany wystawał. Ciosy kamienne zaś, z sufitu spadające nadal śmiertelne zagrożenie stanowić mogły. Wprawnym ruchem pułapkę unieszkodliwiłem, a tempo marszu przyspieszając, ku kolejnej pułapce niechybnie zmierzałem. Zbliżywszy się do miejsca, gdzie kolec skorpionia mógł stopy wędrowca ugodzić, płytciny posadzkowe w szachownicę ułożone, pośród innych wypatrzyłem i celnymi krokami miejsce niebezpieczne ominąłem. Od płomienia dogasającej pochodni, rozpałem ogarek kaganka oliwnego. Wzniesiony ogień z minutą każdą nabierał przenikliwości i mroki wokół mnie gęstniejące, skutecznie rozświetlał. Wszystkie życiowe nadzieje w płomieniu tym złożyłem. Płomień przed podmuchami wiatru osłaniając, krok swój do rozmiarów wojskowej marszruty, wydłużyłem. W oddali łby węża, z nagłą zamajaczyły, naprzeciw siebie ze ścian wyrastające. Wyczuwając zagrożenie nieodległe w miejscu przystanąłem, chcąc czujność niezbędną do jego odparcia przywołać. Ogon węża przed czasem niedawnym wdeptany w podłogę, na powrót ponad nią wystawał, przywodząc na myśl przestrach niedawny. Bez chwili namysłu na kamień wystający stopą naparłem, a zgrzyt towarzyszący jego zapadaniu, długo jeszcze niósł się tunelem, od ścian odbity. Długo też w uszach mi pobrzmiwał, a dźwięk ten dopiero rozproszył widok nieszczęśnika o blond włosach, na wylot ostrzami czterema przebity. Nie chcąc nastroju przygnębienia pogłębiać, nie zamierzałem inskrypcji o zębach krokodyli odczytywać, a krok swój ponad miarę wszelką wydłużony, dopiero na widok rąk wystających z piasku, skróciłem. Obraz ten niewdzięczny, mimo oczu potraktowałem, uwagę całą na przejściu wąskim, wzdłuż ściany koncentrując. Grząską wydmy minawszy, zamierzyłem przed zapadłą płytą glinianą, dopiero zwolnić kroku. Spojrzenia strachliwego w dół nie skierowawszy, rozpęd niewielki biorąc, nad czeluścią śmiertelną gibko przeskoczyłem, baczenie mając, by ni kropli z kaganka oliwnego nie uronić. Mogłem już bez obaw większych o bezpieczeństwo swoje, szlakiem przetartym, wzdłuż ściany prawej ku schodom się przemieszczać. Na widok mijanych posągów Maat wzrok zmęczony na dłużej za siebie rzuciłem, wielkością ich i majestatem poruszony. Przesądna natura moja, swój udział w spojrzeniu tym mieć musiała, wszelako od posągów tych, szczęśliwa wyprawa w podziemia początek swój brała, nie mniej też szczęśliwe zakończenie zapewnić powinny.

Wzdłuż ściany wysokiej śmiało podążając, spod nóg umykały kolejne kwadraty posadzkowych płytcin, a łączenia ich, wydawały się być z krokiem każdym, mniej dostrzegalne. Z obawą niewysłowioną spoglądałem na ogarek kaganka. Żarzył się ogniem nieledwie widzialnym, bledsze jeszcze wokół rozniecając światło. Pomimo chęci nieodpartej, przeliczyć nie czułem się władny, jak drogę odległą jeszcze pokonać muszę. Dość powiedzieć że światło – kompan mój jedyny, przez ostatnie godziny wiernie mi towarzyszący, zagasło bezpowrotnie z ciemnościami nieprzeniknionymi, sam na sam mnie pozostawiając. Opuszczony przez nadzieję wszelką, dłonią prawą o ścianę się wspierając, w zapamiętanym kierunku na oślep zdążałem. Sił ostatkiem postanowiłem ducha niezłomnego w sobie wskrzesić i nade wszystko, u kresu wyprawy się nie poddawać. Wiedziałem że krokiem wolniejszym i mniej stabilnym, zapewne upadając, lecz też się podnosząc, ku schodom na pustynię prowadzącym, prędzej czy później dobrnąć muszę. Zbrojny w niezłomne przekonanie, wytrwale na przód kroczyłem. Każdy z kroków z dbałością niezwykłą wyważając, wrażenie odniosłem że odległość od schodów mnie dzieląca, niewielką musi pozostawiać. Wkrótce też o pierwszy ze schodów się potknąłem, a upadając szczęśliwie niegroźne odniosłem potłuczenia. Głowę ku górze uniosłem, wnet też pośród zmroku jak smoła gęstego, u posad najwyższych, mętne dostrzegłem światło. W żadnym jednak sposobie drogi w górę nie mogło ono rozświetlać, zdolne jedynie było punkt odniesienia i źródło nadziei przygasłej, stanowić. Wciąż o ścianę się wspierając, w rytmie monotonnym schodów ku światłu zbawczemu, wytrwale podążylem. Z każdą dziesiątką pokonanych stopni, wrażenie odnosiłem jakoby światło owo blakło coraz bardziej, odległość do pokonania niezbędną, czyniąc nieokreśloną. Powodem wrażenia tego, zapewne być musiał dzień zmierzchający, na fakt ten nie

mając wpływ, większemu jeszcze zmartwieniu uległem. Wkrótce nadzieja świeża w serce moje wstąpiła, uznawszy jeśliś nie światło słoneczne, to gwiazdy oświecą mi dalszą drogę. Nim jeszcze noc zapadła, ku radości wielkiej, zdołałem pokonać ostatnie schody. Boccaccio pisząc Dekameron, podobnych musiał doznać wrażeń, wydostając się z dna piekła, wszystkie dziewięć kręgów piekielnych przebywszy.

Powietrze pustynne o tej porze szczęśliwie rześkim było i ożywczym. Oczy do mroku przywykłe, w zapadających ciemnościach mniej dotkliwe uczuły zmęczenie, jednakże utrudzone nogi wędrowni dalszej zgodnie odmówiły. Ostatnim tchnieniem sił, szpadel pod piaskiem ukryty odnalazłem, a w kolistym kamieniu jego drzewiec umieszczając, wejście do podziemi zawarłem. Nagły odpływ energii wkrótce uczułem i nie wiem jak długo na piasku pustynnym zaległem, nie wiem też jakowe myśli umysł mój zaprzętały, zapewne o powrocie do świata żywych z krainy umarłych rozmyślałem. Odpoczynek zasłużony, niebawem siły ciała memu przywrócił. Na równe nogi stanąwszy, znane sobie dobrze sylwetki trzech piramid przed sobą dostrzegłem. W nocnej poświacie, w blasku ciał niebieskich, niczego nie straciły ze swego dostojenia. Ciemne ich sylwety na tle zmierzchu bardziej jeszcze potęgniały, mniej dostępnymi się stając. Podążyłem w ich kierunku, z każdym krokiem wobec ich ogromu karleć się zdawałem, aż w pobliżu ich będąc, zniknąłem zupełnie, do ziarenka piasku upodobniony. Minąłem wielką piramidę, a niebawem kolejną, Chefrena zwaną. Pozostawiłem ją za plecami, kierując się w stronę traktu do południowych wrót Kairu mającego mnie zaprowadzić, w nadziei napotkania karawany do miasta tego zmierzającej. W przypiływie instynktów za dalszy byt odpowiedzialnych, w mieście tym postanowiłem przewodnika wraz z wierzchowcem wynająć, ażeby w czasie najbliższym do Abu Simbel wyruszyć i ekspedycję włoską na powrót powitać. Głowę ku niebu zadarłem. Na firmamencie o przejrzystości i głębi niezwyklej tkwiła niewzruszenie konstelacja Oriona. Przez czas długi, wzroku nie mogłem od niej oderwać, raz po raz odległości pomiędzy trzema piramidami pokonując. Rozmieszczenie ich względem siebie wiernym zachowaniem proporcji się okazało, jaką obok siebie gwiazdy Pasa Oriona tworzyły. Nie wiem jak długo stałem nieruchomo w niebo wpatrzony, aż uszu mych dobiegły pochrząkiwania wielbłądów, zadumę moją przerywając. Wkrótce też z chmury piaskowego pyłu, pośród pokrzykiwań Beduinów, jakoś karawana wyłaniać się poczęła, wprost na mnie zmierzająca. Po negocjacjach niedługich, zapewne w mrokach nocy za Araba mnie biorąc, przewodnik karawany na zapłatę przystał niewygórowaną, wielbłąda przydzielić mi postanowił, po czym w nieodległą już drogę do Kairu wspólnie wyruszyliśmy. Długo jeszcze głowy zadarte ku niebu opuścić nie mogłem, długo też miarkując, czy kurz na twarzy osiadający, jest gwiezdny pył, cząstkę światów odległych z sobą niosącym, czy też drobnymi ziarnami piasku, spod wielbłądzich racic dobytym. CDN

Drodzy czytelnicy, gorąco zachęcam do zakupu mojej debiutanckiej powieści MATEMATYCZNY WZÓR NA ISTNIENIE BOGA dostępnej w większości księgarni internetowych w promocyjnych cenach, Dziękuję i pozdrawiam, autor.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Maciej Bienias, dodano 05.02.2022 15:57

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.